

Henryk Sienkiewicz - Orso

Ostatnie dni jesieni są dla Anaheim, miasteczka położonego w południowej Kalifornii, dniami zabaw i uroczystości. Kończy się naówczas winobranie, całe więc miasto roi się tłumami ludności robotniczej. Nic bardziej malowniczego nad widok, jaki przedstawia ta ładność złożona w mniejszej części z Meksykanów, głównie zaś z Indian Cahuilla, którzy dla zarobku przybywają aż z dzikich gór San Bernardino, leżących w głębi kraju. Jak jedni, tak i drudzy roztasowują się na ulicach i placach do sprzedania, czyli tak zwanych lotach, na których sypiają pod namiotami albo wprost pod gołym niebem, wiecznie w tej porze roku pogodnym. Śliczne to miasto, otoczone kępami eukaliptów, rycynusów i drzew pieprzowych, wre jakby jarmarkiem gwarnym i hałaśliwym, a stanowiącym dziwne przeciwieństwo z głęboką i poważną ciszą pustyni, porosłej kaktusami, która zaczyna się zaraz za polami winogrodu. Wieczorem, gdy słońce kryje promienny swój krąg w toniach oceanu, a na różowym niebie widać również różowo oświetlone klucze dzikich gęsi, kaczek, pelikanów, mew i żurawi, ciągnących tysiącami z gór ku oceanowi, w mieście zapalają się ogniska i rozpoczyna się zabawa. Minstrelowie murzyńscy klekocą w kastaniety, przy każdym ognisku słychać odgłosy bębnow i mrukiwe tony "bandża"; Meksykanie tańczą na rozciągniętych ponczach ulubione swe bolero, Indianie wtórują im, trzymając w rękach długie białe laski "kiotte" lub rzucając okrzyki "Eviva"; ogniska, sycone czerwonym drzewem huczą i strzelają iskrami, a przy krwawych ich blaskach widać skaczące postacie, dokoła zaś - miejscowych osadników pod rękę z pięknymi żonami i córkami, przypatrujących się zabawie.

Dzień jednak, w którym ostatnie ono zastaje wytłoczone indyjskimi nogami, jest jeszcze uroczystszy, zjeżdża albowiem wówczas z Los Angeles wędrowny cyrk pana Hirscha, Niemca, a zarazem właściciela menażerii, złożonej z map, kugarów, lwów afrykańskich, jednego słonia i kilkunastu dziecienniałych ze starości papug: the Greatest Attraction of the World! Jakoż Cahuillowie oddają ostatnie pezos, których nie zdołali przepić, aby tylko widzieć nie tyle dzikie zwierzęta, bo tych w San Bernardino nie brak, ile artystki, atletów, kłownów i wszystkie cuda cyrkowe, które wydają im się co najmniej "wielką medycyną", to jest czarodziejstwem, możebnym do spełnienia tylko z pomocą sił nadprzyrodzonych.

Ściągnąłby jednak na siebie słuszny, a Bóg widzi, niebezpieczny gniew pana Hirscha, kto by myślał, że cyrk jego jest przynętą tylko dla Indian, Chińczyków lub Murzynów. Przeciwnie przybycie cyrku pociąga za sobą zjazd nie tylko okolicznych osadników, ale nawet mieszkańców sąsiednich mniejszych miast Westminster, Orange i Los Nietos. Ulica pomarańcz bywa wówczas tak zapchana wozami i powozikami najrozmaitszych kształtów, że niepodobna się przecisnąć. Cały wielki świat "setlerski" staje jak jeden mąż. Młode zgrabniutki miss, z jasnymi grzywkami na oczach, powożąc z kozłów, rozjeżdżają z wdziękiem ludzi po ulicach, szczebioczą i szczerzą ząbki; hiszpańskie senioritas z Los Nietos rzucają długie powłóczyście spojrzenia spod tiulowych zasłon; zamężne damy z okolicy, ubrane według ostatniej mody, z dumą wspierają się na ramionach ogorzałych farmerów, którym za cały strój służą obdarte kapelusze, rypsowe pantalony i flanelowe koszule, zaścięgnięte w braku krawatów na hetkę i pętelkę.

Wszystko to wita się, nawołuje, ogląda bacznym okiem stroje, o ile są very fashionable, i obgaduje po trochu.

Wśród powozików, zasypanych kwiatami i wyglądających jak wielkie bukiety, harcuja na mustangach młodzi ludzie i przechylając się z wysokich kulbak meksykańskich, zaglądają ukradkiem pod kapelusze dziewczęce. Półdzikie konie, przerażone hukem i gwarem, toczą krwawymi oczyma, wspinają się i kwiczą, ale dzielni jeźdźcy nie zdają się nawet zwracać na to uwagi.

Wszyscy rozmawiają o the greatest attraction, czyli o szczegółach przedstawienia wieczornego, które świetnością ma przejść wszystko, co dotąd widziano. Istotnie, olbrzymie afisze donoszą o cudach prawdziwych. Sam dyrektor Hirsch, artysta na bacie, ma dać koncert z najsroższym ze znanych dotąd lwem afrykańskim. Lew rzuca się wedle programu na dyrektora, któremu za całą obronę służy tylko bat. Ale zwykle to narzędzie zmieni się w cudownych rękach (zawsze według programu) na ognisty miecz i tarczę. Koniec owego bata ma kasać jak grzechotnik, migotać jak błyskawica, strzelać jak piorun i trzymać w ciągłym oddaleniu potwora, który na próżno miota się i chce rzucić na artystę. Nie na tym jednak koniec: szesnastoletni Orso, "Herkules amerykański",

zrodzony z ojca białego a matki Indianki, ma dźwigać na sobie sześciu ludzi, po trzech na każdym ramieniu; prócz tego, dyrekcja ofiaruje sto dolarów każdemu człowiekowi, "bez względu na kolor skóry", który by małego atletę zmógł w ręcznej walce. Głuche wieści chodzą po Anaheim, że z gór San Bernardino przybył umyślnie dla próbowania się z Orsem Grizzly-Killer (zabijacz niedźwiedzi), sławny z nieustraszoneści i siły wnicznik, który jak Kalifornia Kalifornią, pierwszy z ludzi ośmielił się uderzać na szarego niedźwiedzia z toporem i nożem.

Prawdopodobne zwycięstwo "zabijacza niedźwiedzi" nad szesnastoletnim atletą cyrkowym podnieca do najwyższego stopnia umysły wszystkich męskich mieszkańców Anaheimu; jeśli bowiem Orso, który dotychczas wszędzie między Atlantykiem a Pacyfikiem rzucał na ziemię najsilniejszych Yankee zostanie teraz zwyciężony, nieśmiertelna chwała okryje całą Kalifornię. Umysły kobiece nie mniej podnieca znów następny numer programu: oto tenże sam potężny Orso będzie nosił na trzydziestostopowym maszcie małą Jenny, "cud świata", o której afisz mówi, że jest najpiękniejszą dziewczyną, jaka żyła na ziemi "za ery chrześcijańskiej". Dyrektor mimo iż Jenny liczy dopiero lat trzynaście, ofiaruje również sto dolarów każdej dziewczycy, "bez względu na kolor skóry", która by ośmieliła się stanąć w zawód pod względem piękności z "Aniołem powietrznym". Miss, misski i misseczki z Anaheimu i okolic krzywią się w pogardliwy sposób, czytając ten punkt programu, i utrzymują, że nie byłoby to lady like stawać do takiego współzawodnictwa. Swoją drogą, każda z nich wolałaby oddać nawet swoje krzesło na biegunach niż nie być na wieczornym przedstawieniu i nie zobaczyć tej dziecinnej rywalki, w której piękność zresztą w porównaniu na przykład z siostrami Bimpa żadna nie wierzy. Dwie siostry Bimpa, starsza Refugio i młodsza Mercedes, siedząc niedbale w ślicznym buggy, czytają właśnie afisz. Na cudnych twarzach ich nie znać najmniejszego wzruszenia, choć czują, że oczy Anaheimu zwracają się na nie w tej chwili jakby z prośbą, by ratowały honor całego hrabstwa i zarazem z patriotyczną dumą, ugruntowaną na przekonaniu, że nad te dwa kwiaty kalifornijskie nie masz piękniejszych we wszystkich górach i kanionach świata tego. Och! bo też śliczne są siostry Refugio i Mercedes! W żyłach ich nie na próżno płynie czysta krew kastylska, o czym matka ich mówi co chwila, wyrażając za jedną drogą wysoką swą pogardą tak dla wszelkiego rodzaju kolorowych, jak i dla ludzi posiadających jasne włosy, to jest dla Yankee.

Ciała dwóch sióstr są wysmukłe, lekkie, a pełne w ruchach jakichś tajemnic, niby ociężałe, a takie rozkoszne, że gdy kto z młodzieży zbliża się do nich, serce mu miota się w piersi od nie wyznanej i nieświadomej siebie żądz. Od donny Refugio i Mercedes bije czar, jak woń bije od magnolij i kielichowców. Twarze ich delikatne, płeć przezroczysta, choć zarumieniona lekką różowością, jakby odbłaskiem jutrzeńki; oczy powłóczyście i czarne, słodkie a w spojrzeniu niewinne i tkliwe. Obwinięte w skręty muślinowych rebozos w buggy zarzuconym kwiatami, siedzą oto przezyste, spokojne i tak piękne, że same nawet zdają się nie wiedzieć o swej piękności. Anaheim patrzy na nie, pożera je oczyma, szczyli się nimi i kocha się w nich. Jakaż więc musi być ta Jenny, jeśli i tu chce odnieść zwycięstwo? "Saturday Weekly Review" pisał wprawdzie, że gdy mała Jenny wędruje na szczyt masztu, wspartego na potężnym ramieniu Orsa, gdy na szczycie drąga zawieszona nad ziemią, narażona na śmierć, pocznie rozkładać rączki i migotać jak motyl, w cyrku robi się cicho, i nie tylko oczy, ale i serca śledzą ze drżeniem każdy ruch cudnego dziecka. "Kto ją raz widział na maszcie lub na koniu -kończy "Saturday Review" -ten jej nie zapomni nigdy, bo największy malarz na ziemi, nawet mister Harvey z San Francisco, który malował Palace Hotel, nie umiałby wymalować nic podobnego.

Sceptyczna lub zakochana w pannach Bimpa młodzież anaheimska utrzymuje, że jest w tym humbug, niemniej jednak rozstrzygnie się to ostatecznie dopiero wieczorem. Tymczasem ruch koło cyrku powiększa się z każdą chwilą. Z pośrodku długich szop drewnianych, otaczających właściwy płócienny cyrk, dochodzi ryk lwów i słońia; papugi, poprzyczepiane do kół, zawieszonych przy szopach, wrzeszczą wniebogłosy, mały huśtają się na własnych ogonach lub przedrzeźniają się publiczności trzymanej w oddaleniu sznurami, rozciągniętymi wokoło budynków. Nareszcie z głównej szopy wyjeżdża procesja, której celem zaciekać do tego już stopnia publiczność, żeby aż skamieniała. Czoło procesji stanowi ogromny wóz, zaprzęgnięty w sześć koni z piórami na głowach. Woźnice w kostiumach pocztylionów francuskich powożą z siodła. Na wozach stoją klatki ze lwami, w każdej zaś klatce siedzi lady, z różdżką oliwną. Za wozem postępuje słoń, pokryty kobiercem, z wieżą na grzbiecie i łucznikami w wieży. Trąby grają, bębny biją lwy ryczą, bicze klaskają, słowem,

cała karawana, jak gomon posuwa się naprzód z hałasem i wrzawą. Nie dosyć na tym: ze słoniem toczy się maszyna z kominem jak u lokomotywy, podobna do organów, na której para gra, a raczej kwiczy i wyświstuje najpiekniej narodowe Yankee Doodle. Chwilami para dłużej zatrzymuje się w dudzie, a wtedy z dudy wychodzi zwyczajny świst, co jednak nie zmniejsza entuzjazmu tłumów, które słuchając tej pieśni kwicząco-parowej nie posiadają się z radości. Amerykanie krzyczą: "Hura!", Niemcy: "Hoch!", Meksykanie: "Eviva", Cahuillowie zaś wyją z zadowolenia jak dzikie zwierzęta, które pokasał giez.

Tłumy ciągną za wozami, miejsce naokół cyrku wyludnia się, papugi przestają wrzeszczeć, mały przewracać koziołki. The greatest attraction nie bierze jednak udziału w procesji. Na wozach nie ma ani "niezrówanego na bacie" dyrektora, ani "niezwycięzonego Orsa", ani "anioła powietrznego, Jenny". To wszystko chowa się dopiero na wieczór, aby tym większe wywołać wrażenie. Dyrektor siedzi gdzieś w szopie lub zagłada do kas, w których jego Murzyni wyszczerzają białe zęby do publiczności -zagłada i złości się quand meme, Orso zaś i Jenny mają właśnie próbę w cyrku. Pod płóciennym jego dachem panuje jednak cisza i mrok. Głęb, w której piętrzą się coraz wyżej ławki, prawie zupełnie jest ciemna, największa natomiast ilość światła wpada przez płócienny dach na wysypaną piaskiem i otrębami arenę. Przy owych szarych, precedzonych przez płótno blaskach, widać stojącego przy parapecie konia, wedle którego nie ma nikogo. Grubopłaski koń nudzi się widocznie, opędza się ogonem od much i kiwa, o ile może, łbem przywiązany na białym lejcu i podgiętym ku pierścionom. Powoli oko odkrywa i inne przedmioty, jak oto: leżący na piasku drag, na którym Orso nosi zwykle Jenny i kilka obręczy, zaklejonych bibułą, przez które Jenny ma skakać -ale wszystko to leży niedbale porzucone, cała zaś półoświecona arena i mroczny zupełnie cyrk robią wrażenie pustkowia z pozabijanymi od dawna oknami. Szeregi spiętrzonych ławek, w niektórych tylko miejscach obrzucone blaskiem, wyglądają jak rumowiska; stojący ze spuszczonego łbem koń nie ożywia obrazu.

Gdzież są Orso i Jenny? Jedno z pasm wkradającego się przez szpary światła, w którym kręci się i wiruje kurz, pada jak złota plama na zagłębienie dalszych ławek. Plama ta posuwa się zgodnie z ruchem słońca na dworze, a w końcu oświetla grupę złożoną z Orsa i Jenny.

Orso siedzi na wierzchu ławki, przy nim zaś Jenny. Jej śliczna dziecinną twarzyczka przytulona jest do ramienia atlety, a ręka otacza jego kark i zwiesza się na drugim ramieniu. Oczy dziewczynki wzniesione są do góry, jakby słuchała uważnie słów towarzysza, który pochylony nad nią, porusza od czasu do czasu głową, niby tłumacząc coś i przekładając. Tak przytulonych do siebie można by wziąć za parę zakochaną, gdyby nie to, że odziane w bladorożowe trykoty nóżki Jenny, nie dostając do ziemi, kiwają się w tył i naprzód ruchem zupełnie dziecinnym, który nazywa się także robieniem garnków, a jej wzniesione oczy wyrażają raczej zasluchanie się i mocne natężenie myśli niż inne jakie romantyczne uczucie. Przy tym kształty jej przybierają dopiero pierwsze zarysy kształtów kobiecych. W ogóle Jenny jest jeszcze dzieckiem, ale tak uroczym, że nie ubliżając panu Harvey z San Francisco, który malował Palace Hotel, trudna by mu było wymarzyć roś podobnego. Jej drobna twarzyczka jest po prostu anielska; ogromne, smutne, niebieskie oczy mają wyraz głęboki, słodki, ufny; ciemne brwi rysują się z nieporównaną czystością na czole białym i jakby zamyślonym, na które płowa, jedwabista, trochę beładna czupryna rzuca cień, jakiego by się nie tylko mister Harvey, ale i pewien inny malarz, nazwiskiem Rembrandt nie powstydział. Dziewczynka przypomina zarazem Kopciuszkę i Gretchen, a przytuloną postawą, jaką przybrała, zdradza usposobienie bojaźliwe i potrzebujące opieki.

Od tej postaci w rodzaju Greuza dziwnie odbija strój cyrkowy, złożony z krótkiej gazowej spódniczki, naszywanej srebrnymi blaszkami, tak krótkiej, że nie okrywa jej kolan, i z różowych trykotów. Siedząc w paśmie złotego światła, na tle głębokim i ciemnym, wygląda jak jakie zjawisko słoneczne i przezroczyście, a przy tym kształty jej wysmukłe tworzą proste przeciwieństwo z kwadratową postacią chłopaka.

Orso, ubrany w cielisty trykot, wydaje się z daleka nagim, a tenże sam promień oświeca jego rozrosłe nieproporcjonalnie bary, zbyt wypukłą pierś, zapadły brzuch i za krótkie w stosunku do długiego tułowia nogi. Potężne jego formy zdają się być tylko z gruba wyciosane toporem. Ma on wszystkie cechy cyrkowego atlety, ale podniesione do takiej potęgi, że czynią z niego prawie karykaturę. Przy tym jest brzydki. Chwilami, gdy podnosi głowę, widać twarz jego, której rysy są

wprawdzie regularne, może nawet bardzo regularne, ale jakieś zastygłe i także jakby wyrąbane siekierą. Niskie czoło i spadające aż na nos czarne włosy, podobne do włosienia końskiego, a odziedziczone zapewne po matce "skwawie", nadają jego licom wyraz ponury i groźny. Jest on zarazem podobny do byka i niedźwiedzia, a w ogóle uosabia straszliwą siłę, ale złą. Jakoż wcale nie jest dobry.

Gdy Jenny przechodzi koło klatek końskich, pocziwie te stworzenia zwracają głowy i patrząc na nią rozumnymi oczyma rżą z cicha, jakby chciały powiedzieć: "How do you do, darling?", na widok zaś Orsa aż przysiadają ze strachu. Jest to chłopak zamknięty w sobie, mrukliwy i posępny. Murzyni pana Hirscha, pełniący obowiązki masztalerzy, kłownów, minstrelów i linoskoków, nie cierpią go i dokuczają mu, jak tylko mogą, ponieważ zaś jest Metysem, nic sobie z niego nie robią i głośno wypowiadają mu swą pogardę. Dyrektor, który prawdę rzekłszy, niewiele ryzykuje stawiając sto dolarów za nim naprzeciw każdemu, kto by się chciał z nim próbować, nienawidzi go i boi się zarazem, ale w taki sposób, w jaki pogromca zwierząt boi się na przykład lwa, to jest - ćwiczy go z lada powodu.

Dzieje się to jeszcze i dlatego, iż pan Hirsch sądzi, że gdyby on nie bił chłopaka, byłby przez niego bity, a w ogóle trzyma się zasady owej Kreolki, która bicie uważała za karę, a niebicie za nagrodę.

Taki to jest Orso. Od niejakiego czasu stał się on jednak lepszym, albowiem zaczął bardzo kochać małą Jenny. Zdarzyło się przed rokiem, że gdy raz Orso, który był zarazem dozorcą zwierząt, czyścił klatkę kuguara, zwierz, wysunąwszy łapę przez pręty, skaleczył go dość mocno w głowę. Wówczas atleta wszedł do klatki i ze strasznej walki, jaka wywiązała się między nim i zwierzęciem, wyszedł sam tylko żywy. Był jednak tak silnie pokaleczony, że zemdlał, a potem chorował długo, tym bardziej że dyrektor oćwiczył go jeszcze za połamaną kuguarowi kość pacierzową. W czasie choroby mała Jenny okazywała mu wiele litości, opatrywała w braku kogo innego jego rany, a w chwilach wolnych, przesiadując przy nim, czytała mu Biblię, to jest "dobrą książkę", która mówiła o kochaniu się, o przebaczeniu, o miłosierdziu, słowem, o rzeczach, o których nigdy nie było mowy w cyrku pana Hirscha. Orso, słuchając tej książki, pracował długo swoją indyjską głową, a w końcu doszedł do przekonania, że gdyby tak było w cyrku, jak w tej książce, to i on nie byłby taki zły. Myślał także, że wówczas nie bywałby bity, a może nawet znalazłby się ktoś taki, kto by go kochał. Ale kto? Nie Murzyni i nie pan Hirsch, więc chyba mała Jenny, której głos tak mu słodko brzmiał w uszach jak głos maukawisa.

Wskutek tej myśli pewnego wieczoru rozplakał się ogromnie, zaczął całować małe ręce Jenny i od tej pory pokochał ją bardzo. Odtąd, gdy w czasie wieczornych przedstawień dziewczynka jeździła na koniu, on był zawsze na arenie i wodził za nią troskliwymi oczyma. Podstawiając jej obręcze, pozaklejane bibułą, uśmiechał się do niej, a gdy przy towarzyszeniu nuty: "Ach, śmierć bliska!", nosił ją ku wielkiemu przerażeniu widzów na szczycie drąga, to i sam był przerażony. Wiedział dobitnie wówczas, że gdyby ona spadła, to już by nie było nikogo w cyrku z "dobrej książki", nie spuszczał też z niej oczu, a ta jego ostrożność i jakby trwożliwość ruchów dodawała grozy widowisku. Potem, gdy wywołani burzą oklasków, wbiegali razem na arenę, wysuwał ją zawsze naprzód, aby na nią największe brawa spadły, i mruczał z radości. Z nią też jedną umiał rozmawiać ten mruk i przed nią tylko otwierał się. Nienawidził on cyrku i pana Hirscha, który był zupełnie inny jak ludzie z "dobrej książki". Coś ciągnęło go zawsze na kraniec widnokręgu, na bory i stepy. Gdy wędrowną trupie w ciągłych włóczęgach zdarzyło się przebywać okolice nie zaludnione, odzywały się w nim takie instynkta, jakie odzywają się w chowanym wilku, który pierwszy raz bór zobaczy. Skłonność tę może nie tylko po matce odziedziczył, bo i ojciec jego biały był zapewne jakim wnicznikiem, błądzącym po stepach. Z tych swoich pragnień zwierzał się małej Jenny, a zarazem opowiadał jej, jak to się żyje na pustyni. Po większej części to odgadywał, a trochę wiedział o tym od stepowych strzelców, którzy od czasu do czasu przychodzili do cyrku, już to dostarczając dzikich zwierząt panu Hirschowi, już aby się pokusić o owe sto dolarów, które dyrektor za zwalczenie Orsa wyznaczył.

Mała Jenny słuchała zwykle tych odgadywań i indyjskich widzeń, otwierając szeroko swe niebieskie oczu lub zamyślając się. O, bo Orso sam nigdy nie wybierał się na pustynię. Ona była zawsze z nim i tak im było dobrze, że aż strach. Co dzień widzieli coś nowego, mieli całe swoje gospodarstwo, wypadało więc nad wszystkim się zastanowić.

Siedzą więc oto teraz oboje w paśmie światła i rozmawiają; zamiast robić próbę nowych skoków.

Koń stoi na arenie i nudzi się. Mała Jenny, przytulona do ramienia Orsa, utkwiała zamyślane oczy w przestrzeń i nóżkami kiwa zawzięcie, i rozważa w swojej małej główce, jak to będzie na pustyni, a czasem rzuta pytania, żeby się jeszcze lepiej dowiedzieć, jak to będzie.

- A gdzie tam mieszkać? - pyta podnosząc oczy na towarzysza.

- Tam jest pełno dębów. Bierze się siekierę i buduje się dom.

- Well -mówi Jenny- a nim dom stanie?

- Tam zawsze ciepło. Grizzly-Killer mówił, że tam bardzo ciepło.

Jenny poczyni kiwać jeszcze mocniej nóżkami na znak, że jeśli tam ciepło, to jej o nic więcej nie chodzi; ale po chwili zastanawia się znowu. Ma ona w cyrku ulubionego psa, który nazywa się pan pies, i kota, zwanego pan kot, chciałyby więc i względem nich coś postanowić.

- A pan pies i pan kot pójdą z nami?

- Pójdą - odpowiada Orso i mruczy z radości.

- Weźmiemy z sobą i "dobrą książkę"?

- Weźmiemy-mówi Orso i mruczy jeszcze głośniej.

- Well - szczenioce dziewczynka. - Pan kot będzie nam łapał ptaszki, a pan pies będzie szczekał, jeśli zechce do nas przyjść kto brzydki; a ty będziesz mężem, ja twoją żoną, a one będą nasze dzieci.

Orso taki już jest uszczęśliwiony, że nie może nawet mrużyć, więc Jenny prawi dalej:

- I pana Hirscha nie będzie, i cyrku nie będzie, i nie będziemy nic nigdy robić, o tyle!... Ale nie!

-dodaje po chwili- "dobra książka" mówi, że trzeba pracować, więc czasem przeskoczę sobie przez jaką obręcz, przez dwie obręcze, przez trzy obręcze, przez cztery obręcze!

Jenny nie wyobraża sobie widocznie pracy pod inną postacią jak skakanie przez obręcze!

Po chwili pyta znowu:

- Orso, i ja naprawdę będę zawsze z tobą?

- Tak jest, Dży: ja ciebie bardzo kocham.

Twarz jego rozjaśnia się, gdy to mówi, i staje się prawie ładna.

A jednak on sam nie wie, jak kocha tą małą jasnowłosą główkę.

Oto jak brytan swoją panią. Zresztą na całym świecie ją tylko jedną. Swoją drogą, wygląda przy niej jak smok, ale co mu to szkodzi? Nic a nic

- Dży- mówi po chwili -posłuchaj, co ci powiem.

Jenny, która przed chwilą podniosła się, chcąc spojrzeć na konia, przyklęła teraz przed Orsem i aby nic nie stracić z jego słów, opiera łokcie na jego kolanach, następnie położywszy brodę na obie dłonie, poczyni słuchać z zadartą główką.

W tej chwili jednak, na nieszczęście dzieci, wchodzi do cyrku artysta na bacie, a wchodzi w jak najgorszym humorze, albowiem próba ze lwem zupełnie się nie udała.

Wyłysiały ze starości zwierz, który rad by, żeby mu już raz dali święty spokój, żadną miarą nie chciał rzucać się na artystę-pod razami bata chował się tylko w głąb klatki. Dyrektor myślał z rozpaczą, że jeśli to lojalne usposobienie nie opuści lwa do wieczora, to "koncert na bacie" może się nie udać, bo bić lwa, który się odwraca, nie jest większą sztuką niż zacząć jeść raka od ogona.

Humor dyrektora jeszcze się pogorszył, gdy Murzyn sprzedający bilety na paradyz, doniósł mu, że Cahuillowie widocznie już przepili pieniądze, wzięte za winobranie, albowiem zgłasza się ich wprawdzie do kasy wielu, ale zamiast pieniędzy ofiarowują za bilety swoje derki, znaczone US, albo też żony, zwłaszcza stare. Brak pieniędzy u Cahuillów był niemałą stratą dla artysty na bacie. Liczył on bowiem na crowded house, a bez paradyzu nie może być crowded house, dlatego dyrektor życzył sobie w tej chwili, aby wszyscy Indianie mieli tylko jeden grzbiet i aby on mógł dać koncert na tym grzbiecie wobec całego Anaheimu. W tym usposobieniu wchodzi do cyrku, a widząc konia, nie robiącego nic i stojącego ze znudzoną miną pod parapetem, ma ochotę przewrócić kozła z gniewu. Gdzież mogą być Orso i Jenny? Zakrywszy ręką czoło, aby mu oczu nie zaślepią światło wdzierające się przez płótno, dyrektor wpatruje się w głąb i wkrótce dostrzega w świetlanym pasemku Orsa i Jenny, klęczącą przed nim, z łokciami wspartymi na jego kolanach. Ujrawszy takie widowisko, puszcza koniec bata na ziemię.

- Orso!

Piorun, który by uderzył w grupę dwojga dzieci, nie mógłby wywołać większego w nich przerażenia.

Orso zrywa się na równe nogi i poczyną zstępować wycięciem między ławkami na dół, tym pośpiesznym ruchem zwierzęcia idącego do nogi na głos pana; za nim postępuje mała Jenny z oczyma szeroko otwartymi z przerażenia, chwytając się po drodze ławek.

Orso, wylazłszy na arenę, zatrzymuje się przy parapecie, chmurny i milczący. Szare światło, padające z góry oświeca teraz wyraźnie jego herkulesowy tułów, osadzony na krótkich nogach - Bliżej! - woła ochryplym głosem dyrektor, gdy tymczasem koniec jego rozpuszczonego bata porusza się po piasku złowrogim ruchem, jakim porusza się ogon tygrysa, czyhającego z zasadzki.

Orso postępuje kilka kroków i przez jakiś czas obaj patrzą sobie w oczy. Dyrektor ma zupełnie minę pogromcy, który wszedłszy do klatki ma zamiar ćwiczyć niebezpieczne zwierzę, ale zarazem śledzi je.

Wściekłość bierze w nim jednak górę nad ostrożnością. Jego cienkie nogi, ubrane w łośiowe spodnie i wysokie maszталerskie buty, podskakują pod nim z gniewu. Może zresztą nie samo tylko próżnowanie dzieci wzbudza w nim gniew. W górze między ławkami Jenny patrzy na obydwóch, jakby patrzyła sarna na dwa rysie.

- Hoodlumie... łapaczu psów, psie nieznanym! - szeptem dyrektor.

Bat z szybkością błyskawicy opisał krąg, zaświstał, zasyczał i uderzył. Orso zaskowyczał z cicha i rzucił się krok naprzód, ale drogie uderzenie wstrzymało go od razu, po czym trzecie, czwarte, dziesiąte. Koncert rozpoczął się, choć widzów jeszcze nie było. Wzniesiona ręka wielkiego artysty nie poruszała się prawie wcale, dłoń tylko kręciła się, jakby część jakiej maszyny osadzona na śrubie, a każdy jej skręt odzywał się kłaśnięciem na skórze Orsa. Zdawało się, że bat, a raczej jadowity jego koniec, wypełnił całą przestrzeń między atletą a dyrektorem, który, podbudzając się sam stopniowo, wpadł w prawdziwe uniesienie artystyczne. Mistrz improwizował po prostu. Trzaskawka, migocąc w powietrzu, dwa razy już wypisała krwawe ślady na szyi atlety, które wieczorem miał pokryć puder.

Orso zamilkł w końcu. Za każdym jednak uderzeniem posuwał się krok naprzód - dyrektor krok w tył. W ten sposób obeszlą całą arenę. I znowu dyrektor wycofywał się z areny, zupełnie jak pogromca z klatki, a wreszcie znika u wejścia do stajen... zupełnie jak pogromca.

Na odchodnym jednak wzrok jego padł na Jenny.

- Na koń! - wykrzyknął. - Rachunek na później.

Głos jeszcze nie przebrzmiał, gdy biała spódniczka mignęła w powietrzu i Jenny w mgnieniu oka skoczyła jak małpka na grzbiet koński. Dyrektor zniknął za zasłoną, koń zaś począł galopować wkoło, dudniąc od czasu do czasu kopytami w parapet.

- Hep! hep! - pokrzykiwała cienkim głosikiem Jenny: - hep! hep! - ale owo hep! hep! było zarazem łkaniem. Koń biegł coraz prędzej i dudnił kopytami, pochylając się coraz gwałtowniej. Dziewczynka, stojąc na siodle nóżkami przyciśniętymi jedna do drugiej zdawała się go ledwie końcami palców dotykać; różowe, nagie jej rączki chwytają nagłymi ruchami równowagę; rzucone w tył pędem powietrza włosy i cyrkowa z gazy spódniczka gonili za jej lekką postacią podobną do ptaka krążącego w powietrzu.

- Hep! hep! - pokrzykiwała jeszcze. Tymczasem łzy zalewały jej oczy tak, że musiała głowę zadzierać, żeby coś widzieć; bieg konia odurzył ją; spiętrzone szeregi ławek i ściany, i arena poczęły wirować naokół niej. Zachwiała się raz, drugi i wreszcie spadła w ramiona Orsa.

- Orso, o, Orso! - wołało szlochając dziecko.

- Co ci jest, Dży? - szeptał chłopiec. - Czego pieczesz? Nie płacz, Dży! Mnie nie bardzo boli, wcale nie bardzo.

Jenny rzuciła mu obie ręce na szyję i poczęła całować jego policzki. Całe jej ciało trzęsło się od uniesienia, a płacz przechodził prawie w spazmy.

- Orso, o, Orso! - powtarzała, nie mogąc więcej przemówić, i ręce jej zaciskały się gwałtownie koło jego szyi. Gdyby sama została wybita, nie mogłaby płakać więcej; jakoż w końcu on zaczął ją utulać i pocieszać... Zapomniawszy o bólu chwycił ją na ręce i przyciskał z kolei do serca, a rozkołysane biciem jego nerwy sprawiły, że pierwszy raz uczuł, iż kocha ją nie tylko tak jak brytan swą panią. Oddychał szybko, a wargi jego poczęły szeptać przerywanym tchnieniem:

- Nic mnie już nie boli... Gdy ty jesteś psy mnie, bardzo mi jest dobrze... Jenny! Jenny!

Tymczasem dyrektor chodził po stajniach i pienił się ze złości. W sercu jego nurtowała zazdrość.

Widział on dziewczynę na kolanach przed Orsem, a od pewnego już czasu cudne dziecko poczęło w nim wzbudzać jakby brzask niskich uczuć, nie dość jeszcze rozwiniętych. Ale posądził już ją i Orsa o romans, więc pragnął się zemścić. Znalazłby dziką rozkosz, gdyby ją wybił, bardzo mocno wybił, i tej chęci nie mógł się oprzeć. Po chwili zawołał na nią.

Wyrwała się natychmiast. z rąk atlety i w mgnieniu oka znikła w ciemnym wejściu do stajen. Orso był jakby odurzony, ho zamiast iść za nią, poszedł chwiejnym krokiem do ławki i siadłszy na niej, począł ciężko robić piersiami.

Tymczasem dziewczynka, wbiegłszy do stajni, nie spostrzegła zrazu nikogo, albowiem ciemniej tam było jeszcze niż na arenie. Bojąc się jednak, aby nie posądzono jej, iż nie spełniła natychmiast rozkazu, wołała cichym i przestraszonym głosem:

- Już jestem tu, panie, już jestem!

W tej samej chwili ręka dyrektora chwyciła za małą jej rączkę, a chrapliwy głos wyrzekł:

- Come!

Gdyby był gniewał się na nią lub krzyczał, mniej by ją to przerażało niż owo milczenie, w jakim prowadził ją w stronę garderoby cyrkowej. Przechyliła się więc w tył i opierając się co siły, powtarzała, jak mogła najszybciej:

- Mister Hirsch; mój drogi, mój słodki! nigdy nie będę..

Ale on prowadził ją przemocą do długiej zamkniętej komory, w której był skład kostiumów, i zamknął drzwi na klucz.

Jenny rzuciła się na kolana. Ze wzniesionymi oczyma ku górze; ze złożonymi rękoma, drżąc jak liść, zalana łzami, próbowała go przebłagać; on zaś zdjawszy szpicrutę ze ściany, rzekł w odpowiedzi:

- Połóż się!

Uczepiła się wówczas rozpaczliwie jego nóg, bo prawie umierała ze strachu. Każdy nerw dygotał w niej jak naciągnięta struna, ale na próżno swoje zbladłe usteczka przyciskała błagalnie do jego wyglansowanych cholew. Przeciwnie: strach jej i prośby zdawały się go jeszcze podniecać.

Chwyciwszy ją za opaskę spódniczki, rzucił na stos sukien, leżących na stole, potem przez chwilę jeszcze tłumił gwałtowne poruszenia jej nóg i wreszcie uderzył.

- Orso! Orso! -zawołała dziewczynka.

W tej samej chwili drzwi zatrzęszy się w nawiasach, zatrzeszczały od góry do dołu i cała ich połowa, wybita olbrzymią siłą, zwała się z łoskotem na ziemię.

W wyłomie stanął Orso.

Szpicruta wypadła z ręki dyrektora, a twarz pokryła się mu trupią bladością, bo też Orso wyglądał strasznie. Zamiast oczu widać mu było tylko białka, szerokie wargi jego pokryte były pianą, głowa pochylona jak u byka, a całe ciało zebrane w sobie niby do skoku.

Precz! -krzyknął dyrektor, starając się krzykiem pokryć strach.

Ale tama była już zerwana. Orso, tak zwykle posłuszny na każde skinienie jak pies, nie cofnął się tym razem, tylko schyliwszy niżej jeszcze głowę, posuwał się złowrogo ku artyście na bacie, rozciągając jakby przemocą swe żelazne mięśnie.

- Help! Help! - zawrzeszczał artysta.

Dosłyszano go.

Czterech ogromnych Murzynów wbiegło co sił ze stajen przez wyłamane drzwi i rzuciło się na Orsa. Zaczęła się straszna walka, której dyrektor przypatrywał się szcękając zębami. Precz długi czas widać było tylko kupę poplątanych ciemnych ciał, pasujących się w konwulsyjnych skrętach, ruchliwą, kłębiącą się, zwichrzoną; w ciszy, jaka zapadła, rozległ się czasem jęk, czasem chrapnięcie lub świst nozdrzy. Ale po chwili jeden z Murzynów, wyrzucony jakby nadludzką siłą z owej bezkształtnej masy, zakołysał się w powietrzu i padł obok dyrektora, uderzywszy z głuchym łoskotem czaszką o podłogę; wkrótce wyleciał drugi, a wreszcie ponad kłębem walczących podniósł się tylko Orso, straszniejszy niż przedtem, pokrwawiony i z włosiem zjeżonym na głowie. Kolana jego gniotły jeszcze dwóch omdlałych Negrów. Potem podniósł się i szedł znowu ku dyrektorowi.

Artysta zamknął oczy.

W tejże samej sekundzie uczył, że nogi jego nie dosięgają już ziemi, potem uczył, że leci w powietrzu, a jeszcze potem nic nie czuł, bo uderzywszy całym ciałem w pozostałą połowę drzwi,

padł bez czucia na ziemię.

Orso obtarł się i zbliżył do Jenny.

- Chodź! -rzekł krótko.

Wziął ją za rękę i wyszli. Całe miasto gonilo właśnie za procesją wozów i za maszyną, grającą Yankee Doodle - więc koło cyrku było zupełnie pusto. Papugi tylko, kołyszące się w obręczach, napelniały krzykiem powietrze. Dzieci szły ręka w rękę prosto przed siebie tam, gdzie na końcu ulicy widać było z daleka niezmiernie pole kaktusowe. Milcząc mijali domy, ukryte w cieniu eukaliptów, następnie minęli miejscową bydłobójnię, koło której kręciły się tysiące szpaków czarnych z czerwonymi skrzydłami, przeskoczyli wielki rów irygacyjny weszli w las drzew pomarańczowych i wydostawszy się z niego, znaleźli się między kaktusami.

To już była pustynia.

Jak okiem sięgnąć piętrzyły się coraz wyżej kolczaste kępy; powikłane liście, wyrastające z innych liści, zagradzały drogę, chwytając haczykami za sukienkę Jenny. Czasem kaktusy wznosiły się tak wysoko, że dzieci były jakby w lesie jakim, ale też w tym lesie nikt już nie mógł ich znaleźć. Szli więc, skręcając to na prawo, to na lewo, byle dalej. W miejscach, gdzie piramidy kaktusów były mniejsze, widać było na samym krańcu widnokregu błękitne góry Santa Ana. Szli ku górom. Upał był wielki. Popielate szarańcze ksykały w kępach; promienie słoneczne zlewały się na ziemię potokami; wysuszona ziemia pstrzyła się siatką zapadlin, sztywne liście kaktusów zdawały się mięknać od gorąca, a kwiaty były omdlałe i na wpół zwiędnięte. Dzieci szły milcząc i rozmyślając. Ale wszystko, co ich otaczało, było tak nowe, że wkrótce oboje oddali się zupełnie wrażeniom i zapomnieli nawet o zmęczeniu. Jenny biegła oczyma z jednej kępy na drugą, to znów zapuszczała badawczy wzrok w środek kaktusów, pytając od czasu do czasu cicho towarzysza:

- To to jest pustynia, Orso?

Jednak pustynia nie zdawała się być pustą, z dalszych kęp dochodziły nawoływania kogutów kuropatw, a naokoło rozlegały się rozmaite dziwne klaskania, cmokania, mrużenia, słowem: najróżnorodniejsze głosy małych zwierzątek zamieszkujących kaktusy. Czasem zrywało się całe stado kuropatw; czubate biegacze uciekały piechotą na długich swych nogach, czarne wiewiórki dawały za zbliżeniem się dzieci nurka pod ziemię, na wszystkie strony pierzchały zające i króliki; susły, siedzące na tylnych łapkach przed jamami, podobne były do tłustych niemieckich farmerów, stojących we drzwiach domów.

Wypocząwszy małą godzinkę dzieci poszły dalej. Jenny wkrótce zachciało się pić, na co Orso, w którym widocznie budziła się przemyślność indyjska, poradził nazrywawszy owoców kaktusowych. Było ich mnóstwo i wyrastały z jednych liści wraz z kwiatami. Wprawdzie obierając je pokłuli się oboje o delikatne jak włosy kolce, ale za to owoce smakowały im wyśmienicie. Słodkawy i kwaśny smak ich ugasił pragnienie i głód zarazem. Pustynia nakarmiła dzieci jak matka; posiliwszy się mogli iść dalej. Kaktusy piętrzyły się coraz wyżej, można rzec, że wyrastały jeden drugiemu na głowie. Grunt, po którym szli, podnosił się z wolna, ale ciągle. Raz jeszcze ze wzgórza obejrawszy się, ujrzeli Anaheim na poły rozplynięte w oddali, podobne do wielkiej kępy drzew, rosnących na niskim stepie. Cyrku już nie było widać ani siadu. Szli jednak bardzo wytrwale całymi godzinami ku górom, które rysowały się coraz wyraźniej. Okolica zaczęła przybierać inną postać. Między kaktusami pojawiały się już różne krzaki, a nawet i drzewa. Zaczynała się lesista część podgórzy przy Santa Ana. Orso złamał jedno z mniejszych drzew i poobrywawszy gałęzie, uczynił z niego maczugę, która w jego ręku mogła być straszliwą bronią. Instykt Indianina szeptał mu, że w górach lepiej jest mieć choć pałę niż gołe ręce, tym bardziej że powoli i słońce zaczęło już zniżać się ku zachodowi. Jego wielka ognista tarcza stoczyła się już nawet daleko za Anaheim i zapadała w ocean. Po chwili znikła, ale na zachodzie świeciły zorze czerwone, złote i pomarańczowe, podobne do długich pasem i taśm, porozciąganych na całym niebie. Góry jarzyły się w tych blaskach, kaktusy przybierały różne fantastyczne kształty, podobne do ludzkich i zwierzęcych. Jenny czuła się zmęczona i śpiąca, ale zdążyli oboje co sił do gór, choć sami nie wiedzieli dlaczego. Jakoż wkrótce ujrzeli skały, a doszedłszy do nich odkryli strumień. Napiwszy się wody szli dalej wzdłuż Łożyska. Tymczasem skały, z początku rozproszone i przerywane, zmieniły się na jednolite mury, potem na ściany coraz wyższe, i tak weszli w kanion, czyli wąwóz.

Zorze gały; mrok ogarniał ziemię coraz większy. Miejscami, gdzie lianosy przerzucały się z jednej

strony na drugą, tworząc jakoby sklepienia nad strumieniem, było zupełnie ciemno i wcale straszno. Na górze słychać było jakoby szum drzew, których z dołu nie mogli dojrzeć. Orso dorozumiewał się, że to już puszcza, w której pełno było zapewne dzikich zwierząt. Od czasu do czasu dochodziły już nawet stamtąd rozmaite podejrzanе głosy, a gdy noc zapadła, słychać było wyraźnie chrapliwe beczenie rysiów, ryki kuguarów i płaczące głosy kujotów.

- Boisz się, Dży? - pytał Orso.

- Nie! - odpowiedziała dziewczynka.

Ale była już bardzo zmęczona i nie mogła iść dalej, więc Orso wziął ją na ręce i niósł. Sam jednak szedł ciągle naprzód, w nadziei, że trafi na jakiego skwatera lub na namioty meksykańskie. Raz lub dwa razy zdawało mu się, że widzi w oddali świecące oczy dzikiego zwiewa. Przytulał wtedy jedną ręką do piersi Jenny, która już spała, drugą ścisnął swoją pałkę. Sam był także strudzony bardzo. Mimo olbrzymiej jego siły, Jenny poczyniła mu już ciężyc, tym bardziej że niósł ją na lewym ręku; prawą chciał mieć wolną do obrony. Chwilami stawał dla nabrania tchu, potem szedł dalej. Nagle zatrzymał się i nadstawił pilnie uszu. Zdawało mu się, że z dala dochodziły go odgłosy dzwonek, jakie skwatterowie przywiązują na noc krowom i kozom. Ruszywszy śpiesznie naprzód wkrótce doszedł do skrętu strumienia. Głos dzwonek stawał się coraz wyraźniejszy, a na koniec dołączyło się do nich szczekanie psa. Orso był już pewny, że zbliża się do jakiejś siedziby ludzkiej. Dla niego czas też był wielki; wyczerpał się przez dzień cały i poczyniło mu sił brakować.

Minął leszcze jeden skręt i ujrzał światło; w miarę jak posuwał się naprzód, jego bystre oczy poczęły odróżniać ognisko, psa, który widocznie przywiązany do pnia, szarpał się i szczekał, a wreszcie siedzącego koło płomienia człowieka.

"Boże, daj, aby to był człowiek z "dobrej książki"" - pomyślał

Następnie postanowił obudzić Jenny.

- Dży! - zawołał - obudź się, będziemy jedli.

- Co to? - pytała dziewczynka - Gdzie my jesteśmy?

- W pustyni.

Rozbudziła się zupełnie.

- A tam co za światło?

- Tam mieszka jakiś człowiek. Będziemy jedli.

Biedny Orso był bardzo głodny.

Tymczasem byli już blisko ogniska. Pies szczekał coraz gwałtowniej, a stary człowiek, siedzący przy ogniu, przysłonił oczy i patrzył w ciemność. Po chwili spytał:

- Kto tam?

- To my...-odpowiedziała cienkim głosikiem Jenny - i bardzo nam się jeść chce.

- Zbliżcie się! - rzekł stary człowiek.

Wyszędłszy zza wielkiego głazu; za którym byli ukryci, stanęli oboje nad ogniem, trzymając się za ręce starzec spojrział na nich zdumionymi oczyma; z ust jego wyrwał się mimo woli okrzyk:

- What is that?

Ujrzał bowiem zjawisko, które w bezludnych górach Santa Ana mogło każdego zdziwić. Oto i Orso, i Jenny mieli na sobie cyrkowe kostiumy. Śliczna dziewczynka, ubrana w różowe trykoty i krótką spódniczkę, pojawiwszy się nagle, wyglądała w blasku ognia jak jakiś sylf fantastyczny. Za nią stał chłopak o niezwykłych kwadratowych kształtach, ubrany także w cielisty trykot, spod którego przebijały jego mięśnie na kształt sęków na dębie.

Stary skwatter patrzył na nich szeroko otwartymi oczyma.

- Co wyście za jedni? - spytał.

Mała kobietka, licząc widocznie więcej na swoją niż na towarzysza wymowę, poczęła szczebiotać:

- My z cyrku, kochany panie! Pan Hirsch wybił bardzo Orsa, a potem chciał bić mnie, więc Orso mnie nie dał i wybił pana Hirscha i czterech Murzynów, i potem uciekliśmy na pustynię, i szliśmy długo przez kaktusy, i Orso mnie niósł, potem przyszliśmy tu, i bardzo się nam jeść chce.

Twarz starego samotnika rozjaśniała się powoli, a oczy jego spoczęły z dobrotliwym ojcowskim wyrazem na uroczym dziecku, które śpieszyło się, jakby pragnąc wypowiedzieć wszystko jednym tchem.

- Jak ci na imię, mała? - spytał.

-Jenny.

- Więc welcome, Jenny, i ty, Orso! Ja rzadko widuję ludzi... Pójdź do mnie, Jenny.

Mała kobietka bez namysłu zarzuciła swoje nagie rączki na szyję starca i ucałowała go serdecznie. Wydawał jej się z "dobrej książki".

- A czy nas pan Hirsch tu nie znajdzie? -pytała oderwawszy swą różaną buzię od zwiędłej twarzy osadnika.

- Kulę znajdzie! -odparł starzec, a po chwili dodał: -Mówicie, że wam się jeść chce?

- O, bardzo!

Skwater pogrzebał chwilę w popiele i wydobyl z niego wspaniałą udziec jeleni, którego zapach rozszedł się naokoło. Po czym siedli do jedzenia.

Noc była pyszna; na niebo wysoko nad wąwóz wytoczył się księżyc, w gęstwinie poczęty śpiewać słodkim głosem maukawisy, ogień huczał wesoło, a Orso począł mruścić z radości. Oboje z dziewczynką jedli jak najęci; stary tylko samotnik jeść nie mógł-i nie wiadomo dlaczego spoglądając na małą Jenny miał łzy w oczach.

Może dawniej był ojcem, a może w pustych górach ludzi rzadko widywał...

* * * * * I odtąd troje tych ludzi pędziło życie razem.